

Brawurowa opowieść o szajce, którą od perfekcji *Ocean's Eleven*
i od śmieszności *Gangu Olsena* oddziela bardzo cienka granica!

GRZEGORZ
KALINOWSKI



NIEWIDZIALNA RĘKA

LIRA
WYDAWNICTWO

**NIEWIDZIALNA
RĘKA**

GRZEGORZ
KALINOWSKI

NIEWIDZIALNA
REKA

LIRA
WYDAWNICTWO

Lira Publishing Sp. z o.o.

Wydanie pierwsze

Warszawa 2023

ISBN: 978-83-67654-73-9

*Maciejowi Skupowi,
Panu Subiektowi od ksiązek.
Niech Moc będzie z Tobą!*

PROLOG

*DRUGA POŁOWA KWIETNIA, WARSZAWA,
PAŁAC MOSTOWSKICH,
KOMENDA STOLECZNA POLICJI,
GODZINA PRZEDURZĘDOWA, MOCNO PORANNA.*

Komisarz Jaskulski widział nagranie po raz pierwszy, ale szef ochrony Jakołcewicz, tak jak większość Polaków, oglądał „Misia” Barei. Znał je na pamięć, doskonale wiedział, co się za chwilę wydarzy, że pierwsza kamera pokaże człowieka lekko przy kości, a może po prostu dobrze zbudowanego, który z zadziwiającą lekkością wskoczy na ogrodzenie, po czym znajdzie się po jego drugiej stronie, lądując pewnie, jakby był zawodowym gimnastykiem. Nawet ręce rozłożył szeroko, lekko ugiął nogi, po czym się wyprostował, niczym przed jury, które przyznawało noty. Można to było uznać za przypadek, ale Jakołcewicz wiedział, że to nie był przypadek. Czekał na reakcję Jaskulskiego, który oglądał film w ciszy i w skupieniu, niczego nie komentując.

Później silnego gimnastyka — tak go sobie nazwał Jakołcewicz — przejęła kamera z ogrodu, a następnie ta przy drzwiach. Przy wejściowych i przy kolejnych, już wewnątrz domu. Facet przechodził przez nie, jakby to były zamykane na haczyk wejścia do komórek, a nie

drzwi do luksusowej wiloni, zabezpieczone najlepszymi szyfrowymi zamkami.

Komisarz odezwał się dopiero po sforsowaniu kolejnej przeszkody, która miała podwójne elektroniczne blokady.

— Wyłączyli wszystkie zabezpieczenia, zamki, system alarmowy, a zostawili kamery. — W jego głosie pobrzmiwał entuzjazm. — Popełnili błąd!

Jakołcewicz, emerytowany policjant, co zdążył odśłużyć swoje także w milicji, wysłuchał tego z kpiącym uśmiechem, którego komisarz nie mógł widzieć, bo stał za jego plecami. Wiedział też, że twarz nie odbija się w monitorze, mógł więc sobie pozwolić na strojenie min, ale zachowywał kamienną twarz, bo czekał na ten naprawdę interesujący moment.

Jaskulski patrzył, jak mężczyzna w czarnym ubraniu i kominiarce wchodzi do gabinetu, po czym zdejmując mały plecak i odwraca się w kierunku kamery. Patrzy w nią, ale czy możliwe było, by robił to świadomie? Obiektów ukryto w ramie obrazu, więc może patrzył na kolorowe płótno Dwurnika, kolejne z serii miast, ale chyba jedyne poświęcone Kraśnikowi. Gdy Dwurnik malował tę serię, to Kraśnik jeszcze nie był popularny, przynajmniej nie od tej strony. Ale nie chodziło o obraz, o zgadywanie, co się na nim znajduje ani o zachwyt nad sztuką. Facet może i był koneserem malarstwa, bo dlaczego odbierać wrażliwość złodziejowi, jednak nie chodziło o obraz, ale o kamerę. Są różne sposoby wyrażania zainteresowania sztuką, także podziwu lub

rozczarowania, ale entuzjaści malarstwa nie stają przed dziełem wyprostowani na baczność i nie podnoszą w górę rozcapierzonej dłoni, jak jakiś wódz Indian na westernie.

— Co to, kurwa, jest? — Na ten moment czekał Jakołcewicz i się nie pomylił.

— Mano Negra! — wykrzyczał Jaskulski.

Komisarz odwrócił się w kierunku Jakołcewicza i patrzył na niego triumfująco. On, śledczy z nowej, lepszej policji, patrzył na starego eksmilocjanca z wyższością, z jaką patrzy na dzikusa biały podróżnik.

— Sądzi pan? — uśmiechnął się Jakołcewicz. — A ja panu mówię: niewidzialna ręka to nasz znak, niewidzialna ręka to także ty!

Teraz on, śledczy z nowej, lepszej policji, patrzył niejako prosząco, szukając u starego milicjanta oznak oświecenia.

Wiedział, że dopiero teraz nastąpi kulminacja, bo skąd trzydziestoparolatek może o tym wiedzieć? O niewidzialnej ręce, o znaku, o misji. Nie dość, że dupek, to jeszcze gówniarz.

— Co to znaczy, o co chodzi?! — gorączkował się komisarz Jaskulski.

— Znaczy to, że ten, który zrobił skok, albo ktoś, kto tym skokiem kieruje, musi być pięćdziesiąt plus, a może i sześćdziesiąt. Ktoś bliżej mojego niż twojego wieku.

Wyraz twarzy komisarza wskazywał, że wołał on o pomoc, nadal nic nie rozumiał, nadal myślał, że to

jakiś żart. A to był dopiero początek. Było grubiej, niż można było przypuszczać. Nawet Jakołcewicz, który miał z niego polewkę, za chwilę sam nie będzie w stanie uwierzyć w to, co się wydarzy, choć widział ten materiał dziesiątki razy.

I

1.

*WARSZAWA, ŚRÓDMIEŚCIE W CZASACH
UMIARKOWANEGO COVID-U, A JESZCZE PRZED
WOJNĄ W UKRAINIE, A CO DO SZCZEGÓŁU
WIOSNĄ ZARAZ PO WIELKANOCY.
DOCHODZI DZIESIĄTA PRZED POŁUDNIEM.*

Mecenas Jakub Hamerski był ekscentrykiem, jeździł skrajnie niepraktycznymi, ale rzucającymi się w oczy samochodami, ubierał się jak dandys i miał blond grzywę w stylu Dawida Bowiego. Na stopy w kolorowych skarpetkach wkładał lakierki, które zawsze wyglądały, jakby właśnie zdjął je ze sklepowej półki, a jeśli zakładał mokasyny, to wyłącznie na gołe nogi. Był arbitrem elegancji, któremu nikt nie mógł zarzuć, że źle dobrał krawat albo fular. Świetnie prezentowały się na nim jednobarwne jedwabne szaliki od Hermès'a, a po wakacjach pod żaglami rozpinął dwa guziki w koszuli i w sprawie śnieżnobiałego materiału prezentował opalony tors zdobiony przez egzotyczne koraliki.

Ktoś inny by się ośmieszył, ale Hamerski budził entuzjazm, nawet gdy zdarzyło mu się zawiązać pod szyją damską apaszkę, to i tak wyglądał niezwykle męsko. Od

dawna nikt owej męskości i elegancji nie kwestionował, przynajmniej głośno i publicznie. Ostatni był mecenas Edward Wilk, który prychnął na jego widok: „Pajac, peda! i bezguscie, się wystroi!”

Jakub Hamerski tego nie usłyszał, dowiedział się jednak o tym od swojej kochanki Marzeny Wilk, zbieżność nazwisk nieprzypadkowa, i nie chodziło o siostrę mecenasa Wilka, bo ta już nie nosiła nazwiska panińskiego, po tym jak z góra dziesięć lat wcześniej wyszła za mąż, tylko o jego żonę. Tak, zgadza się, mecenas Hamerski przyprowadził mecenasowi Wilkowi okazałe rogi, co później wyszło podczas sprawy rozwodowej, bo Marzenę trochę poniosło i opowiedziała sporo z wielką swadą, dopóki nie przerwała jej sędzia. Ta z początku s!uchwała Wilkowej z wielkim zaciekawieniem, ale opanowała się i zareagowała, bądźmy uczciwi, przede wszystkim dlatego, że adwokatka mecenasa Wilka głośno oprotestowała opowiadania o łózkowych przewagach Hamerskiego nad Wilkiem.

Marzena mogła sobie na to wszystko pozwolić, bo mieli z męzem rozdzielnosc majątkową. Mieli też dzieci i był to powód, dla którego po rozwodzie Marzena już nie Wilk, ale znów Popławska, nie stanęła na ślubnym kobiercu z Jakubem Hamerskim. Dzieci nie polubiły wujka Kuby, a ten nawet się ucieszył, że wkrótce wręcz pokochały wujka Rogera, sympatycznego Amerykanina, który rok później został ich ojczymem.

Hamerski przyjął to z ulgą, bo jego specjalnością były liczne związki, które jeden z jego przyjaciół, bankowiec

Roland Szulc, określił z zawodową wprawą jako krótko-terminowe. Każdy inny znający mecenasa, w tym jego były kochanki, mógł dodać, że owe związki kończyły się w sposób wzorcowy, bo Hamerski miał niezwykle wręcz umiejętności negocjacyjne, co niezmiennie prowadziło do kulturalnych, wyraźnie przyjacielskich rozstań. Ta forma zakończenia relacji z czasem odbijała się na kolejnych partnerach jego kochanek, którzy szczerze go nienawidzili, bo kto chciałby wysłuchiwać superlatyw wypowiedzianych o byłym facecie swojej obecnej dziewczyny?

Taki był mecenas Jakub Hamerski: czarujący, ekstrawagancki i goszczący na plotkarskich stronach, utalentowany, zamożny prawnik w średnim wieku, który wygrywał procesy, pomagał w skomplikowanych sytuacjach biznesowych i prywatnych. Krótko mówiąc, gwiazda palestry warta stawki godzinowej, która zwykłych zjadaczy chleba mogła wprawić w osłupienie, bo nawet po upustach nie była niższa niż trzysta euro. Wściekle drogo, ale każdy z wydanych na niego eurocentów się zwracał, zatem wybaczano mu drobne spóźnienia. Nie, nie kreował się w ten sposób na człowieka, którego wszędzie potrzebują, był naprawdę zajęty i nie zawsze nadjeżdżał równo z rozkładem dnia wpisanym do biznesowych kalendarzy. Kto by o tym pamiętał, miał pretensje, skoro po pierwsze, liczył się efekt końcowy, a po drugie, mecenas zawsze informował o spóźnieniu, uprzedzał, przeproszał?

Tym razem jednak złoty chłopiec warszawskiej palestry, jeśli można było tak mówić o mężczyźnie czterdziestoletnim, kazał na siebie czekać i nie dawał znaku życia. Adam Bielak, prezes VNI — Varsovia Nova Investment, był zdenerwowany, bo minęło ponad dwadzieścia minut, a przecież czekali nie tylko on, ale także zaproszeni dziennikarze, notariusz i przedstawiciel miasta. Ci z ratusza wysłali, co było niezwykle lekceważące, kogoś z niższego szczebla, Bielakowi to uwłaczało, ale był ponad to i przywitał naburmuszonego urzędnika bez niepotrzebnych komentarzy, oschle, ale dość miło.

— Proszę państwa — ogłosił w końcu. — Nie możemy się dodzwonić do pana mecenasa Hamerskiego, to dość niespotykana sytuacja, ale poradzimy sobie. — Zawiesił głos i uśmiechnął się, jeśli zaciśnięte usta z lekko podniesionymi kącikami można było nazwać uśmiechem, prędzej grymasem wymuszonego zadowolenia.

Wszyscy to chyba zrozumieli, to miała być dla Bielaka ważna chwila, tymczasem jeden z architektów tego wzniesłego momentu nie pojawił się na ceremonii. Prezes Bielak odchrząknął i zakończył myśl:

— Tak, poradzimy sobie bez pana mecenasa, można powiedzieć, że przejmę jego obowiązki, bo do tej pory był moim pełnomocnikiem, który negocjował z rodziną Rozłuckich i, chwała Bogu, wywiązał się znakomicie. Wszyscy są zadowoleni, pan Waław i pani Elwira mają cudowną jesień życia, a Warszawa będzie się mogła zmieniać na państwa oczach!

Rozległy się oklaski, Marta Stępień, niezwyklej urody asystentka prezesa Bielaka, i współpracownicy prezesa zrobili dyskretną, ale bardzo skuteczną klakę.

— Panie rejencie... — zwrócił się do czuwającego z dokumentami notariusza.

Rozpoczęła się ceremonia, długa, bo rejent Ignacy Kuch musiał odczytać wszystkie punkty umowy, kolejno Bielak i młodszy prawnik od Hamerskiego, który musiał zastąpić pryncypała, jeszcze raz wszystko przeczytali, a później złożono podpisy.

Strzeliły korki szampana, były też catering, bardzo dobry, prezentacja planów, jeszcze więcej szampana i wina, wybornego, nie bankietowo-konferencyjnego chłamu. Nawet sztywny, wyglądający na lekko wycofanego wysłannik ratusza, o którym szeptano, że sympatyzuje z ruchami miejskimi, odprężył się, a nawet rozgadał, kiedy ludzie Bielaka prezentowali ambitny plan związany z kulturotwórczą i społeczną rolą jego inwestycji, używając słów wytrychów, otwierających jego serce dla Varsovia Nova Building: klubokawiarnia, stojaki na rowery, ścieżki rowerowe, plenerowe siłownie i targ śniadaniowy.

Poranek był szary, ale w południe zza chmur wyszło słońce, więc szampan pity na tarasie biurowca, w którym mieściły się firmy Bielaka, smakował wyjątkowo. Tylko piętnaście pięter, a wydawało się, że szef VN Investment i nowo powstałej VN Building oraz jego goście mają Warszawę u swoich stóp.

Trwało to wszystko dwie godziny, od dziesiątej do południa, a jednak mecenas Jakub Hamerski nie przybył. Nie było go pod komórką, nie dawał znaku swoim współpracownikom, którzy powoli wpadali w panikę, bo właśnie u nich w kancelarii już za moment miało się zacząć spotkanie z udziałem pryncypała, który ogłosił wcześniej, że będzie potrzebował przynajmniej kwadransa, by ogarnąć dokumenty.

Nikt nie mógł przypuszczać, że mecenas Hamerski jest poza Warszawą, że leży sobie na materacu z mchu i porostów gdzieś na skraju Puszczy Kampinoskiej, a jego jasna marynarka garniturowa upstrzona jest zielonymi smugami. Ślady po trawie i mchu, zwłaszcza te na łokciach, wyglądały źle, ale jeszcze gorzej prezentowały się spodnie, bo tracąc przytomność, Jakub Hamerski niefortunnie wylądował w kałuży. Pewnie dlatego twarz wykrzywił mu nieprzyjemny uśmiech, bo być może w ostatniej chwili cała ta sprawa ubawiła go i jednocześnie zmartwiła. Eleganckie spodnie były z pewnością do wyrzucenia.

Po podejściu bliżej było jeszcze gorzej. Zapach, który się unosił w powietrzu, wyjaśniał, że mecenas nie usiadł w błotnistej kałuży. Problem był o wiele poważniejszy, doszło do niewiarygodnej, żenującej wręcz katastrofy. Inna składowa odoru wskazywała na przedawkowanie alkoholu, poświadczyłoby to badanie krwi, które dostarczyłoby również zaskakujących wniosków: mecenas nie tylko był pijany jak bela, ale znajdował się także pod wpływem środków odurzających.

Człowiek tak naszprycowany nie powinien nawet dopuszczać myśli o siadaniu za kierownicą, tymczasem mecenas Hamerski przyjechał do lasu autem. I to nie było jakim, swoim nowym nabytkiem, którym był land rover defender z ostatniej, klasycznej serii, którą wypuściła fabryka w angielskim Solihull. Trudno było w to uwierzyć, nie tylko kierując się przerażającą kondycją, w jakiej znajdował się prawnik, ale przede wszystkim, że nie było w pobliżu żadnego samochodu. O tym, że na skraju lasu stało auto, za które kolekcjonerzy płacili sto tysięcy euro, świadczyły tylko ślady opon.

Słońce osiągało powoli swój najwyższy punkt na niebie i jego promienie zaczęły się przebijać przez gałęzie. Za minutę, dwie miały dotrzeć do zamkniętych oczu mecenas.

2.

Te same promienie słońca, ale już po drugiej stronie Wisły, na warszawskim Grochowie, wdierały się przez zabrudzoną szybę i padały na twarz mężczyzny w nieokreślonym wieku, z pewnością nie mniej niż czterdziestoletniego i nie starszego niż lat sześćdziesiąt. Znajomi, których miał zresztą niewielu, nazywali go Zoltarem, choć w dowodzie osobistym tak starym, że już dawno nieaktualnym, wpisane było imię Zdzisław. Człowiek ów chciał spać do oporu, ale znów się nie

udało, słoneczne światło wybudziło go w samo południe, czyli o co najmniej dwie godziny za wcześnie.

Nie był chory ani poważnie skacowany, po prostu w nocy oddawał się ulubionemu zajęciu, pochłanianiu serialu od pierwszego do ostatniego odcinka. Tym razem był to najnowszy sezon serii „Ozark”, której bohaterem był księgowy mafii.

Zoltar spojrzął spod lekko uchylonej powieki i przez wiązkę promieni słonecznych spostrzegł Jezusa. Potężnego, ale przyjaznego, choć Syn Boży nie miał powodów, by być przyjazny.

Z niezliczonych memów Zbawiciel głosił przecież: „Nadchodzi Wielkanoc, umyj dla mnie okna”, „Przyjdę i sprawdzę, czy umyłeś dla mnie okna”, „Nic mnie nie wkurwia jak to, że gdy myjecie dla mnie okna, to zostawiacie smugi”. Na szybach tych okien nie było smug, były tylko wydrapane palcami dziury, bo nikt tu nie pomyślał o dokładnym myciu szyb. To znaczy myśleli o tym, ale niezbyt nachalnie i mało konstruktywnie. A jak już pomyśleli konstruktywnie, to doszli do wniosku, że to nie ma sensu.

To nie były zwykłe okna, bo to nie był zwykły dom. To była stara fabryka, a teraz artystyczny loft z wielkimi szybami, a niedaleko zasuwała pełną parą budowa, z której straszliwie syfowało. Z wykopów tak głębokich, by pomieścić silos na atomowe rakiety albo trzypoziomowy parking, unosiły się tumany kurzu i pyłu. Ich Radykalna Manufaktura Sztuki mogła równie dobrze się znajdować na skraju Sahary albo być dodatkiem do

mongolskiego osiedla na pustyni Gobi. Żeby szyby były czyste, to trzeba by było je myć codziennie i zmienić się tym samym w jakiegoś cholernego Syzyfa.

Chyba się Syn Boży nie obrazi, bo w końcu to tylko szyby, a nie jakiś kolejny nieudany posąg. Bo w kraju nad Wisłą, gdzie był królem, miał ich od metra. I wcale na ich widok nie grzmiał, choć powinien, w słusznym gniewie, bo jako Syn Boży z pewnością miał dobry gust. Gromy z jasnego nieba nie leciały, szarańcza nie obsiadała pól uprawnych, może dlatego, że w kraju nad Wisłą było mnóstwo pomników papieży i poległych prezydentów. Tak czy owak, razem z nimi i marszałkiem Piłsudskim Jezus Chrystus bił się o podium w spartakiadzie rzeźbiarskich pomyłek.

Na szczęście posąg stojący w pracowni Pabla, który spoglądał życzliwym okiem na budzącego się Zoltara, był jak należy. Stosownych rozmiarów — na pięć metrów wysoki, a do tego bardzo zachowawczy, klasyczna szata i bez eksperymentów. Farba nałożona na wygładzony beton była zgodna z kościelną klasyką — róż twarzy, ciemnokasztanowy odcień włosów, błękit oczu, biel i czerwień szaty, naturalny kolor sandałów także pozbawiony jakichkolwiek ekstrawagancji.

Był to bez dwóch zdań piękny aryjski Jezus, ale z matki Polki, którego serce emanowało niebiesko-czerwona poświata pochodząca z ledowych lampek. *Dzieło nawiązujące do klasycznych przykładów ludowej sztuki sakralnej, zdradzające przy tym silną inspirację obrazami Jezusa Miłosiernego, namalowanymi przez*

Kazimirowskiego i Hylę na podstawie wskazówek świętej Faustyny, tak napisała w „Szumie” czy innym „Pogłosie” krytyczka Dorota Mankiewicz, a kuratorka Hanna Wróblewska w katalogu do wystawy. Tyle pisania, a można prościej, bo dla Zoltara była to, ni mniej, ni więcej, powiększona wersja figurki, którą można kupić w internetowym sklepie z dewocjonaliami.

Zbawiciel Pabla był po prostu ładny, w końcu model, czyli piłkarz Krychowiak, okazał się przystojnym białym mężczyzną, a nie Afrokimś, czy nie daj Boże — Żydem. Polakiem był, czyli wszystko było w należyтым porządku.

Pablo uparł się, żeby umyć kawałek jednego okna — tak, żeby zza „Chrystua-Krychowiaka” przebijały słoneczne promienie, żeby światło wokół głowy tworzyło aureolę. I właśnie ta aureola oświetliła w końcu twarz Zoltara. Załamująca się przez krzywizny starej szyby i zakamarki rzeźby wiązka światła trafiła w powiekę lewego oka niczym promień z ledowej latarki służącej jako przystawka do karabinka automatycznego. Poranek pochylił się nad Zoltarem niczym laryngolog, który najpierw oślepią cię światłem, a później zadławia szpatułką, którą chce przeliczyć migdałki.

— Jezu Krycha Chryste, umyję kiedyś te szyby, ale daj pospać.

Narzucił na głowę koc i momentalnie zachrapał. Nie minęło pół godziny i obudził go natchniony głos.

— Nie sądzicie, że przyszedłem pokój przynieść na ziemię. Nie przyszedłem przynieść pokoju, ale miecz.

Bo przyszedłem poróżnić syna z jego ojcem, córkę z matką, synową z teściową; i będą nieprzyjaciółmi człowieka jego domownicy. Kto kocha ojca lub matkę bardziej niż Mnie, nie jest Mnie godzien. I kto kocha syna lub córkę bardziej niż Mnie, nie jest Mnie godzien! — dźwięczał liturgiczny falset. — Rzeźba będzie uzupełniona o zestaw audio, słyhać będzie te wersy z głośnika, w różnych językach, chcę, żeby cytaty z Mateusza dziesięć, trzydzieści cztery wybrzmiały jak najlepiej. — Te ostatnie słowa zadudniły doskonale znanym Zoltarowi bas-barytonem.

— Z Mateusza? — Padło pytanie zadane egzaltowanym, damskim głosem.

— Z Ewangelii według Świętego Mateusza, rozdział dziesiąty, werset trzydziesty czwarty.

— Ach tak, można więc powiedzieć, że stał się pan badaczem Pisma Świętego? — Głos wszedł na wysokie rejestry będące oznaką uznania.

— Jezu Krycha Chryste — szepnął Zoltar. — To ta siksa z portalu, Jezu Krycha Chryste, zaspiałem, a tam, kurwa, wywiad — wysapał.

Zsunął się z kanapy, która stała na antresoli pracowni, podpełzł na skraj i spojrzał w dół, a potem na zegarek. Dziesiąta dziesięć! Tak, to był wywiad dla portalu 48.pl. Pamiętał, ale zaspiał. Pablo siedział na tle swojej pracy, a naprzeciwko tkwiła jakaś atrakcyjna dziewczyna. Towarzyszyło im dwóch operatorów kamer.

Będzie afera, bo ten wywiad to pomysł Wandy. Czyżby jeszcze nie dojechała? Dziwne, ale skoro tak,

to trzeba zmniejszyć rozmiary porażki albo zremisować ten mecz, bo wygrać się z nią nie da, już się z tym pogodził.

Wanda wpakowała się w ich prawie czterdziestoletnią przyjaźń z butami, lekkimi i eleganckimi. Weszła na szpilkach, które skutecznie rozdeptywały ich kumpelski układ, zrodzony jeszcze w pradawnych czasach, w epoce nie tylko analogowej i przedinternetowej, ale za to czerwonej, bo w latach osiemdziesiątych.

Zimą 1986 roku w drugiej klasie liceum po feriach zimowych pojawił się nowy, niejaki Paweł Pisarski. Dryblas o stłuczonych kostkach i nastroszonych włosach, których kołtuny powoli układały się w rudawe dredy, i w swetrze poplamionym farbą. Zoltar, klasowy elegancik z fryzurą na Limahla, siedział sam, bo go rozsadzili za gadanie na lekcjach, i skoro było obok niego wolne miejsce, to mu dołożyli nowego.

Paweł Pisarski był dziwnym typem. Mrukliwy, spadochroniarz, którego nie dawało się uratować. Bo były szkoły, te lepsze i najlepsze, w których mówiono: „Hej ty, nie zdasz, no chyba że... Chyba że damy ci trójczyny, przepchniemy, a ty przeniesiesz się do innej szkoły, bo tej nie skończysz”. Ale dryblas był na tyle słaby, że nie tylko nie zdał z klasy do klasy w marnej szkole, to jeszcze kazali mu się z niej wynosić. Trafił do nich, na Żoliborz, ale ani do Lelewela, ani do Sempołowskiej. Ich buda znajdowała się nie tylko na dole rankingu dzielnicy, ale i blisko dna całej Warszawy.